

Od autora: Nowa, lepsza wersja mojego starego horroru o tym samym tytule.

Historia opowiada o chłopaku, który postanawia odkryć sekrety bardzo osobliwych malarz...

Na przestrzeni lat spotkałem wielu ludzi, którzy uważali miłośników sztuki Wagnerów za oderwanych od rzeczywistości szaleńców. Mówiono tak też o koneserach, zwykle alienowanych, odpychanych dziwaczными uprzedzeniami i nieprzyjmowanych do poważnych kręgów towarzyskich. Czasem nazywanych chorymi dewiantami, chcącymi jedynie ziścić swe podłe i obrzydliwe fantazje przed portretami przerażających maszkar zaklętych w płótnach.

Ja jednak nie mogłem się z tym zgodzić.

Fakt, dzieła małżeństwa Wagnerów były istic diabelskie, wyrwane jakby z najgorszych koszmarów, czy najciemniejszych zakamarków człowieczego umysłu, jednakże nie miały nic wspólnego z dewiacjami. Odsłaniały jedynie to, co ludzkie, co tkwiło w nas głęboko, od czasu do czasu dając o sobie znać, choć sami pragnęlibyśmy się tego wyprzeć. Nic nie umykało bystrym oczom artystów. Potrafili wejrzeć głębiej, obnażyć lęki każdego, kto podziwiał ich dzieła.

Właśnie za to uwielbiałem mroczną sztukę Wagnerów.

Przedstawiciele galerii niechętnie patrzyli na te groteskowe prace, więc Wagnerowie sami organizowali kameralne wystawy. Zaproszeni goście czasem omdlewali bądź wychodzili zniesmaczeni, nie mogąc unieść ciężaru horroru i przejmującego na wskroś niepokoju, które wyzierały z płócien. Podobno grożono wezwaniem policji, inni zaś żądali odszkodowań za poniesione straty moralne. Mimo to malarze zyskali rozpoznawalność w całej Polsce i zebrali spore grono osobliwych pasjonatów, zwykle obracających się w wysokich sferach, które lubiło łamać tabu albo poszukiwało niezapomnianych wrażeń, tak jak ja.

Do plecaka wrzucałem co tylko popadnie, portfel, latarkę, notes i dwa długopisy, a także mały powerbank, na wszelki wypadek. Spojrzałem na to wszystko jeszcze raz i westchnąłem. Chyba powinno wystarczyć.

Po włożeniu butów poprawiłem jeszcze roztrzepaną fryzurę. Leżący na komodzie telefon wyłądował w kieszeni, podobnie jak paczka papierosów i kluczyki do samochodu. Wziąłem jeszcze parę lateksowych, które miały mi się przydać dopiero na miejscu. Zamknąłem za sobą drzwi pokoju, najciszej jak tylko mogłem, lecz mimo to matka wszystko usłyszała.

– Sebastian, wychodzisz gdzieś? – rzuciła beznamiętnie, po czym wyszła z kuchni, patrząc na mnie pustymi, pozbawionymi emocji oczami.

Śmierć ojca odcisnęła na niej ogromne piętno. Przeżyła ją o wiele gorzej, niż ja czy Kasia i choć było to tak dawno, wciąż żyła tamtym dniem. Nie dziwiłem się i pragnąłem za wszelką cenę pomóc, lecz na nic

się nie zgadzała, uparta jak zwykle. Jej nocne szlochy przyprawiały czasem o dreszcze... Jedyne co mogłem zrobić, to nie mieszać jej w swoje kolejne, być może niebezpieczne, plany.

W tym przypadku niewiedza powinna być najlepsza.

– Umówiłem się z chłopakami na piwo – skłamałem i poprawiłem plecak. – Prześpię się u Mateusza, więc nie musisz na mnie czekać.

Siostra wyszła z pokoju i uśmiechnęła się dyskretnie w moją stronę. Dobrze wiedziała, że kłamię, lecz mimo to czułem, że nic nie wygada. Znała moją obsesję i choć była jej przeciwna, to również robiła wszystko, by nie wciągnąć w to zrozpaczonej matki, która miała na głowie zbyt wiele problemów. Byłem za to niezmiernie wdzięczny.

– Pozdrów go od nas – rzuciła sarkastycznie na pożegnanie, a ja tylko niezręcznie pokiwałem głową. Ucałowałem matkę na pożegnanie w policzek i sprzedałem Kaśce kuksańca, na co ona odpowiedziała lekkim kopnięciem. Matka w ciszy wróciła do kuchni, a Kasia do swojego pokoju wypełnionego dźwiękami lasującej mózg muzyki.

Zacisnąłem dłoń na klamce. Niepewność i zgroza zrodziły się w moim umyśle, lecz tylko na chwilę. Otworzyłem w końcu drzwi, po czym wyszedłem na ciemną klatkę schodową, zostawiając matkę i siostrę za sobą.

*

Słońce chowało się leniwie za horyzontem, malując niebo czerwonopomarańczowymi barwami. Kiedy tylko wysiadłem z golfu zaparkowanego niedaleko urzędu gminy, listopadowy wiatr obdarzył moje policzki lodowatym pocałunkiem. Zarzuciłem stary ojcowski płaszcz, jednak wciąż było mi zimno, jakbym znalazł się w sercu zamrożonego piekła.

Senna wieś wycofywała się powoli z dziennego życia, a ludzie kierowali w stronę ciepłych łóżek i foteli. Nie dla mnie jednak te wygodny. Wyruszałem bowiem na największą eskapadę dotychczasowego życia, której sukces byłby wielkim krokiem w mojej karierze. Krokiem ku sławie, a być może i małej fortunie, która zetrze szydercze uśmiešky z ust moich kolegów po fachu. Ponadto matka nie będzie musiała się przejmować ciągle rosnącymi rachunkami, a i siostra mogłaby spojrzeć z większą nadzieją na wymarzone studia za granicą.

Opłacało się podjąć takie ryzyko.

Banie to opustoszała miejscowość na zachodzie Polski, mała, lecz obarczona niezwykłą historią. Dawno temu ziemia ta należała do Templariuszy, którzy wzniesli kamienny kościół, odrestaurowany po licznych konfliktach zaznaczonych krwią na kartach lokalnych kronik. Ja jednak nie przyjechałem tutaj ani dla kaplicy, ani dla wspomnienia zakonników. Nie byłem żadnym historykiem, tylko początkującym dziennikarzem, a prawdziwym celem mojej podróży był słynny dworek Wagnerów, wzniesiony na krańcu wsi. To tam zgromadzono ich piekielne prace, to tam miała odbyć się w przyszłym tygodniu wystawa prezentują-

ca najnowsze dzieło artystów.

Wystawa i dzieło o tyle niezwykle, gdyż Wagnerów od dawna uważano za martwych lub zaginionych tak jak ich syna, Józefa, człowieka równie, a być może i bardziej tajemniczego od samych artystów.

Wyciągnąłem papierosa ze zmiętej paczki. Udało mi się zapalić, choć nieprzyjemny wiatr zdmuchiwał płomień zapalniczki, niczym zatroskana matka. W końcu zaciągnąłem się i wypuściłem dym przez lekko zaciśnięte wargi, podziwiając zachód słońca. *Ostatnie chwile spokoju*, pomyślałem.

Głęboko westchnąłem i ruszyłem powolnym krokiem w stronę dworku, wciąż rozmyślając nad swoim planem. Żwir chrzęścił pod znoszonymi butami, zimny wiatr mierzwił włosy, a nagie gałęzie drzew rzucały na ulicę niewyraźne cienie.

Co jakiś czas wciągałem dym, drżącymi palcami strącając popiół na ziemię. Zawsze miałem jakieś obawy, kiedy musiałem zmierzyć się z czymś po raz pierwszy. Oddychałem płytko i nie mogłem opanować drżenia nóg. Była to jedna z moich bardziej irytujących cech, dlatego musiałem wziąć się w garść, choć cały czas nie byłem pewien tego, co zamierzałem zrobić. Jeszcze nigdy nie włamywałem się do żadnej posiadłości, zwłaszcza kogoś tak bogatego i sławnego jak Wagnerowie.

Nie zamierzałem niczego ukraść. Nie nazwałbym tego też włamaniem, prędzej nawiedzeniem pustego domu, nieproszoną wizytą niby dawno niewidzianego kuzyna. Miałem klucze do wszystkich drzwi, co prawda podrobione, wyciągnięte osobistym urokiem i charyzmą od ekipy sprzątarek przygotowującej dom na wystawę.

Nie pragnąłem zawłaszczyć sobie ich dzieł ani niczego zbrukać. Mój cel był inny, mniej prozaiczny. Chciałem zrobić to, co oni potrafią najlepiej. Obnażyć ich przed światem, poznać pieczołowicie skrywane sekrety geniuszu, zajrzeć tam, gdzie nie patrzył nikt, po czym opisać to w pierwszej biografii tych niesamowitych i tajemniczych artystów.

Na nic zdały się liczne maile z prośbą o spotkanie z młodym Wincentym Wagnerem, ekscentrycznym wnukiem artystów, odpowiedzialnym obecnie za ich dorobek. Mężczyzna zdawał się nieuchwytny, ignorował niemal każde wiadomości, choć raz dał ostro do zrozumienia, że nie ma zamiaru rozmawiać z kimś tak ograniczonym i niewrażliwym jak ja. Nie wiedziałem, co to miało dokładnie oznaczać, ale w tych słowach, pełnych jadu i pogardy, wyczułem wyzwanie.

Wiatr przybierał na sile, muskając odsłoniętą skórę na dłoniach i szyi. Znalazłem się w końcu przy małym rozwidleniu, gdzie popękany asfalt ustępował miejsca ścieżce prowadzącej prosto do dworku. Uliczne oświetlenie również miało tu swój koniec, przez co droga pogrążała się w mroku, choć wciąż było na tyle jasno, że mogłem obywać się bez latarki.

Nie zmieniło to jednak faktu, że nadal czułem gryzącą niepewność.

Po chodniku biegli dwaj mężczyźni ubrani na sportowo. Rzucili mi złowrogie spojrzenia, jakbym faktycznie zamierzał coś ukraść. Starsza pani trzymająca na smyczy szczekającego psa, również zaczęła na mnie patrzeć, kiedy tylko znalazłem się na szosie. Mimo iż szedłem szybkim krokiem, nie odwracając się, cały czas czułem na plecach jej przenikliwy, przyprawiający o dreszcze wzrok.

Mieszkają tu bardzo dziwni ludzie, pomyślałem, starając się ich ignorować.

Na leśnej drodze byłem już całkiem sam. Usiłowałem utrzymać wybujałą wyobraźnię na wodzy, skupiając swój wzrok na pogrążającym się w mroku jeziorze, nazywanym przez mieszkańców Długie. Nie był to jednak najlepszy pomysł. Pamiętałem pewną legendę o tym miejscu, którą opowiedział mi ojciec, dawno temu, zanim postanowił odebrać sobie życie.

W latach siedemdziesiątych jakiś chory mężczyzna bestialsko zamordował całą swoją rodzinę i spalił dom razem z ich zmasakrowanymi zwłokami. Potem zbiegł z miejsca zdarzenia, a wszelki śluch po nim zaginął. Jednak starzy mieszkańcy Bani twierdzili, że mężczyzna w akcie rozpacz i desperacji rzucił się do wody. Nawet kilkadziesiąt lat później, zwykle po zmierzchu, można było podobno dostrzec, jak przy brzegu dryfuje jego obrzydliwie sine, napuchnięte ciało.

Wiedziałem, że to tylko głupia legenda, wymyślona przez znudzonych pijaczków albo babcie chcące nastraszyć niegrzeczne wnuczeta, ale lęk i gęstniejąca atmosfera zrobiły swoje.

Moje serce zaczęło bić jeszcze szybciej, kiedy w końcu ujrzałem majestatyczną, mansardową budowlę, która powitała mnie osobliwym urokiem, wyłaniając się spomiędzy nagich konarów drzew. Stary dworek Wagnerów zdawał się zimny i surowy, mimo że kilka lat temu przeszedł gruntowny remont. Jednak piaskowa farba utraciła już świeżość, przypominając teraz kolory zbliżone do rozmaitych odcieni szarości. To samo można było powiedzieć o czerwonej niegdyś dachówce, teraz brudnej od deszczu i wilgoci, gdzieś tam porośniętej mchem.

Żelazna brama skrzyła się wieczorną rosą w bladym świetle wschodzącego księżyca. Byłem tu sam, nie licząc ptaków, wbijających we mnie ponure spojrzenia z nagich gałęzi drzew.

Zapomniałem o kluczach do furtki, jednak była na tyle niska, że bez problemu ją przeskoczyłem i po chwili wylądowałem na podniszczonym chodniku Wagnerów. Uczucie *déjà vu* oraz dreszcze przeszły mnie od dołu do góry, jakbym wstępował w nieprzyjazne, choć znajome miejsce.

Wyprostowałem się, po czym ostrożnie ruszyłem w stronę ciemnych drzwi dworku. Minąłem niekoszony od wieków trawnik, a także zaniedbane rośliny, przypominające bardziej cmentarne chaszcze, aniżeli jesienny ogród, pozbawione jakiegokolwiek piękna czy uroku. W oddali stało kilka gipsowych, brudnych i popękanych posągów prawdopodobnie imitujących greckie rzeźby – niegodnie, w mojej skromnej opinii.

Wreszcie dotarłem do masywnych drzwi. Wstrzymałem oddech. Z kieszeni płaszcza wyciągnąłem lateksowe rękawice, które od razu włożyłem, oraz pęczek kluczy do posiadłości. Drżącymi dłońmi wsadziłem do zamka największy z nich. Chwila niepewności i... gotowe. Zakręciłem dwa razy, aż poczułem, że mechanizm ustępuje. Chwyciłem mosiężną, lodowatą klamkę, po czym otworzyłem ciężkie drzwi.

Wstrzymałem oddech i nadstawiłem uszu, by upewnić się, że wokół mnie nic się nie porusza, że jestem sam, a odgłos otwieranych drzwi nie obudził nikogo... i niczego.

Cicho, pusto. Wszedłem więc ostrożnie do mrocznego środka, zostawiając wszystko i wszystkich za sobą. Nie było już odwrotu.

Z plecaka wyciągnąłem latarkę. Blade światło padło na przestronny salon Wagnerów, staromodny, jakby zatrzymany w czasie. Drewniana podłoga skrzypiała przy każdym kroku, a białe ściany odbijały nieprzyjemnie światło. Szedłem w ciszy, obracając się co jakiś czas przez ramię. Czułem, że zrywam zakazany

owoc. Niepokój mieszał się z niezdrową fascynacją, a serce biło jak szalone. Myślałem, że zaraz wyskoczy z piersi.

Dworek Wagnerów na pierwszy rzut oka nie przypominał żadnego domu rodzinnego, tylko sztywnie uporzędkowane muzeum z otwartymi pomieszczeniami oraz ciasnymi korytarzami, wypełnione starymi meblami i bibelotami.

Najpierw moim oczom ukazał się czarny fortepian, który stał w kącie, cichy i zapomniany, pokryty lekką warstwą kurzu. Obok instrumentu znajdował się ozdobny zegar stojący oraz brązowy fotel ze skóry, wysiedziany, gdzieś popękany, ugryziony bezlitosnym zębem czasu. Trochę dalej mieściła się masywna komoda, na której leżały różnorakie rupiecie i figurki przypominające afrykańskie bóstwa...

Odwrociłem głowę, usłyszawszy jakiś szelest w oddali. Zaświeciłem latarką, szukając źródła hałasu, jednak nic nie ujrzałem. Pusto, cicho i nieprzyjemnie. To musiał być tylko wiatr... albo moja wyobraźnia.

Poświeciłem w dalszą część dworku i niemal wrzasnąłem. Nie było w ludzkim języku słów opisujących przerażenie, które mnie zniecałkowała. Oto moim oczom ukazał się pierwszy obraz Wagnerów, niewiarygodnie ohydny i koszmarny, odpychający brzydotą przedstawionej postaci. Nazywał się *Śliczna Alicja* i przedstawiał dziewczynę, brutalnie pozbawioną nosa i dolnej szczęki, z gardłem rozszarpanym jakby przez wściekłe zwierzęta oraz językiem przypominającym wijącego się węża.

Kolor, jakiego Wagnerowie użyli do namalowania krwi, był tak wyrazisty i realny, że miałem wrażenie, jakbym patrzył na doskonałą fotografię.

Jednooka twarz dziewczyny tylko w połowie zachowała dawne piękno, utracone na zawsze. Zniszczone przez dziką i nieznaną siłę, która momentalnie odsłoniła ukryte oblicze człowieka. Mimo to dziewczyna pozowała do zdjęcia, na tle starodawnej boazerii, niewzruszona stanem ciała, choć w głębi duszy czułem jej ból i przerażenie.

Znałem ten portret z Internetu, jednak ekran monitora nie był w stanie oddać nawet połowy grozy i brzydoty, które emanowały z obrazu i hipnotyzowały widza...

Tylko geniusz lub szaleniec mógł skazać płótno czymś takim.

Drżąc, oświetliłem drugą ścianę i ujrzałem kolejne obrazy, przedstawiające dziwnych ludzi obdartych ze skóry, z powykręcانymi kończynami, gnijącymi mięśniami czy wybitymi zębami. Wszechobecny i przytłaczający turpizm, który Wagnerowie opanowali do perfekcji. Plakietki z tytułami portretów głosiły: *Kobieta w konwulsjach*, *Naga prawda Tadeusza*, *Ukryte piękno Magdaleny* czy *Anatomia Strachu Doktora Kowalskiego*. Większość z nich dobrze znałem, jednak teraz wydawały mi się obce, żywe, bardziej tajemnicze... No i te oczy! Te przekłete oczy, które śledziły mnie nienawistnym wzrokiem, przebijały na wylot i wysysały całą energię. Czułem, jakby zaglądały w moją duszę, rozkładały ją na części pierwsze, posilały się.

Skupiłem się na portrecie *Matki*. Szpetna kobieta siedziała na fotelu i trzymała przy obwisłej piersi jakieś monstrum, bynajmniej nie człowieka. Istota koścista, szara, dziwnie powykręcana z pyskiem jak u wilka, która ssła z wściekłością mleko matki.

Poczułem, jak zimny dreszcz przeszedł po plecach. Białe światło padło na szkaradną twarz kobiety, wy-

krzywioną niemożliwym do opisania bólem. Wagnerowie zdołali wyrazić emocje tak genialnie, iż miałem wrażenie jakby postać zamierzała za chwilę wyskoczyć z ram, wylądować tuż obok i krzyczeć, ile sił w płucach, błagać, żebym zabrał od niej tego potwora. Pod wpływem tej wizji wyobraźnia, potęgowana panującą ciszą i ciemnością, sprawiła, że przez chwilę wydawało mi się, jakby kobieta wykonywała powolny ruch w moją stronę...

Wzdrygnąłem się i ruszyłem, by odejść jak najdalej od tego strasznego dzieła. Mimo to cały czas czułem na szyi jakieś nierówne, chłodne oddechy, jednak niczego nigdzie nie dostrzegałem...

Kilka tutejszych prac nigdy nie ujrzało światła dziennego, więc były dla mnie czymś nowym, fascynującym. Obraz zatytułowany *Topielec* przedstawiał sinego i napuchniętego mężczyznę leżącego na plaży, wciąganego do wody przez pokraczne istoty wyrwane z najgorszych koszmarów. Jego skóra wydawała się gąbczasta, pokryta bąblami i wrzodami.

Obok niego wisiał portret tak odrażający, że zamknąłem na chwilę oczy, gdy tylko go ujrzałem. Światło rozjaśniło namalowane ciało mężczyzny pokryte dziesiątkami – nie! – setkami ohydnych dziur, poprzedzielanych jedynie wąskimi pasmami szarej skóry. Boże, cóż za okropieństwo! Odwróciłem szybko głowę i wypuściłem powoli powietrze, usiłując opanować zawroty głowy i odruchy wymiotne.

Im dalej szedłem, tym coraz potworniejsze postacie spotykałem, jedno gorsze od drugich. Odpychające, szkaradne i haniebne, wyciągnięte siłą z czeluści piekła, którym sam Szatan bałby się stawić czoła...

W końcu zatrzymałem się przed kamiennym kominkiem i ujrzałem zawieszony nad nim autoportret małżeństwa Wagnerów. Zamarłem. Zofia i Fryderyk wyglądali na nim tak... zwyczajnie, niekontrowersyjnie. Od ludzi okrytych taką sławą oczekiwało się zupełnie czego innego, bardziej oryginalnego. Oboje byli ubrani w staromodne, powiedziałbym nawet, dziewiętnastowieczne ubrania. Do tego mieli szlachetne rysy twarzy i pozowali dumnie, z pełną gracji, niby arystokraci.

Ich szare oczy również śledziły każdy mój ruch, jednak pozbawione były tej nienawiści, zakłętej w ślepiach maszkar... Jednak jakie inne sekrety skrywały?

W napiętej ciszy zwiedzałem parter. Naliczyłem dwadzieścia dwie prace, jednak musiała być to tylko połowa ich dorobku, słyszałem o znacznie większej liczbie. Atmosfera była dusząca, a chłód przenikał mnie do szpiku kości. Jeszcze nigdy nie czułem się tak nieproszony, ciągle obserwowany. Żadne odwiedzone przez mnie miejsce nie było tak niegościnne, tak odpychające i wrogie.

Światło latarki padło na brązowe drzwi znajdujące się w pobliżu kuchni. Pociągnąłem ostrożnie chłodną klamkę, jednak ani drgnęła. Wypróbowałem po kolei wszystkie klucze i nic, żaden nie pasował.

To musiało być zejście do piwnicy, której sprzątaczkę miały unikać jak ognia. Jedna z nich, najbardziej zauroczona moim towarzystwem, zdradziła, że w domu są trzy niedostępne dla nich miejsca: piwnica, strych oraz pokój Józefa Wagnera, znajdujący się gdzieś na pierwszym piętrze.

Ja natomiast za wszelką cenę musiałem do niego zajrzeć.

Stojąc już jakiś czas przy drzwiach do piwnicy, wyczuwałem nasilający się fetor stęchlizny zmieszanej z innym, metalicznym zapachem, który drażnił moje nozdrza. Nie miałem pojęcia, co to mogło być. Wzdrygnąłem się tylko i ruszyłem w stronę schodów prowadzących na pierwsze piętro.

Stapalem powoli, ostrożnie, rozglądając się dookoła. Na ścianie wisiały różne zdjęcia, jedne czarno-białe, inne w kolorze, przedstawiające zwykle Wagnerów oraz ich córkę, Marię. Matka Wincentego była ładną kobietą podobną do swoich rodziców, jakby odziedziczyła ich cechy po równi.

Dokładnie przyglądałem się zdjęciom, jednak nigdzie nie widziałem Józefa. Dostrzegłem tylko jedną fotografię rodzinną, na której mógłby się znajdować, lecz była rozerwana na pół, jakby w celu wyrzucenia z pamięci syna marnotrawnego...

Coś musiało się między nimi wydarzyć.

Wszedłem w końcu na górę i ujrzałem kolejne obrazy, równie niepokojące, co poprzednie. Przedstawiały mroczne miejsca, odwiedzane jedynie przez szaleńców czy desperatów poszukujących mocnych wrażeń. Zapomniany cmentarz, puste pomieszczenie podobne do salonu Wagnerów oraz pogrążone w ciemności mauzoleum z otwartymi grobami.

Z drugiej strony wisiały prace prezentujące chaotyczne palety krwistoczerwonych barw, namalowane zarówno z prawdziwą wściekłością, jak i zabójczą precyzją. Ich tytuły odpowiadały różnym emocjom: *Złość, Gniew, Żal, Smutek*... Wydawały się niezwykle osobiste. Nic dziwnego, że nie znalazłem ich zdjęć w Internecie. Postanowiłem więc wykonać je samemu, do własnej kolekcji.

Pełen lęku, przemierzałem ciemny korytarz, zaglądając do różnych pokoi, jednak nie znalazłem niczego ciekawego ani przydatnego. Żadnych albumów, pamiątek, dzienników, nic. Czułem, że błędzę jak w labiryncie. Większość pomieszczeń wyglądała tak samo, proste łóżka, szafy i komody z ciemnego drewna, do tego staromodne perskie dywany. Ponadto w każdym wisiały te przerażające portrety nieludzkich istot... Jak ktokolwiek mógł przy nich spać?

W końcu natrafiłem na opór. Klamka, którą złapałem, drgała, sprawiała, że dłoń dziwnie mrowiała, nawet przez rękawiczkę. Czyżby to był pokój Józefa? Wypróbowałem wszystkie klucze, jednak żaden nie pasował... Tak, to musi być to. Szarpnąłem klamkę i poczułem, że drzwi nie są dobrze zamknięte. Naparłem na nie ciałem, coraz mocniej i mocniej, aż w końcu odpuściły. Uchyliłem je ostrożnie, po czym zaświeciłem latarką, wypełniając pomieszczenie białym światłem. Było bardzo ciasne, duszne. Gęsty kurz spowił biurko, komodę oraz duży regał z książkami. Przy brudnym oknie bez klamki znajdowały się wielkie pajęczyny ze zwisającymi, odrażającymi pajakami. Pod nimi żelazne łóżko, z cienkim materacem oraz białą kołdrą, przypominającą prześcieradło, którym zakrywało się ciała w kostnicy.

Długość pomieszczenia i panujący w nim mrok sprawiały, że wyglądało bardziej jak trumna, niż pokój należący do młodego chłopaka. Rozejrzałem się dookoła, szukając czegoś ciekawego, podziwiając przy okazji stare lektury, znajdujące się na regale. Szekspir, Dostojewski, Conrad. Widziałem też Pismo Święte oraz stojący obok niego metalowy krzyż.

Nigdy nie słyszałem, by Wagnerowie byli religijni, więc zdziwiłem się obecnością tych przedmiotów w pokoju Józefa. Ich syn wydawał się taki inny, taki obcy wśród innych członków rodziny, zupełnie jakby do nich nie pasował...

Spojrzałem teraz na puste biurko. Wysunąłem jedną z szuflad, potem kolejną, mniejszą niż poprzednia. Skupiłem tam światło latarki i po chwili coś ujrzałem – drugie dno. Podniosłem powoli cienką płytę i ujrzałem gruby zeszyt oprawiony w czarną skórę, którego kartki były pożółkłe. Wziąłem go ostrożnie do ręki, bojąc się, że coś zniszczę. Otworzyłem go najdelikatniej, jak tylko mogłem i przeczytałem tłusto na-

pisane ostrzeżenie na pierwszej stronie:

Pamiętnik ten zostaje w tym plugawym miejscu i nie ma prawa opuścić jego murów. Nigdy, pod żadnym pozorem, a ktokolwiek go odczyta, niechaj zmiłuje się nad moją duszą. J.W, 1995r.

O mój Boże! To pamiętnik Józefa Wagnera. Jego prywatne wyznania i historie... Czułem się, jakbym znalazł worek ze złotem. Taka zdobycz na pewno pomogłaby mi zrozumieć życie Wagnerów, ich relacje, drogę do mistrzostwa, a i może odpowiedziałyby na pytanie, dotyczące tajemnic Józefa.

Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Pewnego dnia po prostu zaginął. Czyżby uciekł z jakąś dziewczyną? Wyjechał za granicę? Popelnił samobójstwo? Jedyni mówili tak, a drudzy inaczej, jednak wszyscy wiedzieli, że wydarzyło się tu coś dziwnego, coś, o czym Wagnerowie niechętnie wspominali.

Usiadłem na łóżku, które żałośnie zaskrzypiało. Rozejrzałem się dookoła jeszcze raz, nadstawiając uszu. Cisza, byłem całkiem sam. Za oknem zerwał się porywisty wiatr, który wył przeraźliwie i targał gałęziami drzew.

Przelknąłem głośno ślinę i zacząłem czytać przy świetle latarki.

Pismo Józefa było bardzo niewyraźne, koślawe, ale starałem się rozszyfrować wszystko, co mogłem. Pierwsze wzmianki nie wniosły niczego interesującego, młody Józef opisywał jedynie swoje drewniane zabawki, ulubione filmy i książki, szkołę czy kolegów. Nie wspominał o rodzicach i ich twórczości. Dopiero późniejsze notatki z nastoletnich lat Józefa wprawiły mnie w prawdziwą grozę i osłupienie.

...Widzę je wszędzie, ich obślizgłe, wijące się ciała... już dłużej tak nie mogę. Czuję, jak po mnie łażą, kąsają [...] Myślę, że mogą wychodzić z piwnicy, ale jak dostają się aż tutaj... Musiałem się tego dowiedzieć.

[...] Ojciec zbił mnie porządnie, kiedy znalazłem do niej klucze. Krzyczał, że na wszystko jeszcze przyjdzie czas, że jestem za młody i teraz niczego nie zrozumieć [...] Miałem cierpliwie czekać i wszystkiego się uczyć...

... Czasem widziałem tu młodą kobietę z dzieckiem, która rozmawiała z rodzicami, siedząc na fotelu i karmiąc syna piersią. Słyszałem raz, jak narzekała na męża i pracę, że brakuje im pieniędzy, że nie tak to sobie wyobrażała i to wszystko wina tego przekłętego bękarta, który wysysa z niej życie [...] Rodzice dawali jej czasem pieniądze, jednak ta prosiła o coraz więcej i więcej, aż w końcu przestała oddawać. Nigdy więcej już jej nie widziałem, tak samo jak tego dziecka...

... Koledzy przestali się do mnie odzywać, kiedy dowiedzieli się, kim są moi rodzice. Nie wiedziałem, dlaczego tak postąpili, ale słyszałem raz, że nie chcą mieć do czynienia z takim dziwakiem jak ja...

... Byłem sam, nie miałem z kim się pobawić ani porozmawiać. Mówiłem więc do siebie, najpierw w głowie, a potem na głos. Nie spodziewałem się, że zacznę odpowiadać...

Przeleciałem wzrokiem przez kilka kolejnych kartek, zapisując wszystko skrupulatnie w notesie, który wyciągnąłem z plecaka. Przewróciłem kolejną kartkę pamiętnika, pochłaniając wszystko, co tylko roz-
czytałem, jakbym był w transie...

... Maria czasem przyprowadzała tu swoją starszą koleżankę, Alicję. Nigdy nie lubiłem tej dziewczyny, była taka wredna i niemiła! [...] W liceum wszyscy zachwycali się jej urodą, śliczną twarzą, jednak ja wiedziałem, że drzemie w niej podłość i próżność, które często dawały się we znaki. Łamała chłopakom serca dla zabawy, a innym dziewczynom robiła paskudne żarty [...] Raz słyszałem, że ukradła Marii ubranie, gdy ta brała prysznic po WF-ie, zostawiając moją siostrę nagą i przerażoną... Nasi rodzice i zostali wezwani do szkoły [...] Po skończonej edukacji Alicja wyjechała na studia do Poznania. Z tego co mi wiadomo, nigdy tam nie dotarła...

Niepokój władał mną coraz mocniej. Czyżby obrazy były inspirowane istniejącymi osobami? Prawdziwą śmiercią i prawdziwym cierpieniem, z którym Wagnerowie mieli do czynienia? Coraz mniej mi się to wszystko podobało, zwłaszcza ton, w jakim Józef opisywał rodziców. Zacząłem powoli się skłaniać ku ludziom, którzy uważali Wagnerów za prawdziwych odchyleńców... Jednak to, co znalazłem na kolejnej stronie, całkowicie zmroziło krew w moich żyłach:

[...] Nigdy mnie nie rozumieli. Ja też nigdy nie mogłem pojąć ich dziwacznych umysłów. Od dziecka bałem się zasnąć, kiedy ci rozstawiali sztalugi na parterze i malowali, wydając przy tym potworne dźwięki, jakby dzikiej, okultystycznej orgii, pełnej wulgarności i zła [...] Uchyliłem raz drzwi swojego pokoju i ujrzałem czerwone, pulsujące światło, które ziało z parteru jakby z samych czeluści piekła, w akompaniamencie tej koszmarniej, nieludzkiej kołysanki...

...Miałem na tyle wysokie łóżko, że mogłem się pod nim chować, dodając sobie fałszywego poczucia bezpieczeństwa... Do tego ten ostry smród formaliny i rozkładu, który często wypełniał moje nozdrza [...]

... Jestem przeklętym dzieckiem potworów!...

... Bałem się każdej nocy...

[...] Słyszę ich krzyki... One żyją... ŻYJĄ! Wyjdź i patrz na mnie ze ścian!

Boże, przez co on tu przechodził? Kolejne kartki zawierały coraz bardziej osobliwe opisy hałasów i cieni, które widywał Józef. Marginesy zeszytu wypełniały jakieś koślawe rysunki dziwacznych znaków i zwierząt, a fakt, że tworzył je zaledwie nastolatek, wprowadzał mnie w jeszcze większy niepokój.

Czułem się, jakbym przeglądał ten dziennik całą wieczność... Trafiłem na strony wypełnione samymi pokręconymi bohomazami, czasem literami w dziwnym języku, jakby rymowankami czy wierszami...

Potem nic, puste strony, niemal do samego końca... Dalej jednak coś było, coś innego, napisanego mniej koślawo, jakby innym stylem. Dziwne... Ton opisów Józefa zmienił się drastycznie, pisał teraz, jak zwykły, szczęśliwy chłopak, który poznał jakąś dziewczynę i rzucił dla niej wszystko. Z tego co wyczytałem, był to bardzo poważny związek, pierwszy w jego życiu. Ostatni wpis pokrywał się z datą zaginięcia Józefa – osiemnasty czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego.

...Małgosia, Małgosia, kochana Małgosia! Tak śpieszno mi do ciebie, każdego wieczora myślę tylko o tym, że niedługo się stąd wyrwę, że zamieszkamy w końcu razem! Tak, weźmiemy ślub i nikt nie stanie nam na drodze, zwłaszcza oni! Kupimy kiedyś to mieszkanie, co tak Ci się podobało, trzy pokoje, żeby dzieci miały miejsce [...] Pytałaś mnie, jak je nazwiemy, choć dobrze wiesz, że nie jestem w tym dobry... Uważam jednak, że Sebastian i Katarzyna to bardzo ładne imiona...

Głośny i wyraźny hałas dobiegający z dołu sprawił, że oderwałem się od lektury. Momentalnie oblał mnie zimny pot, a oddech stał się płytki, drżący. Boże, ktoś tu jest? Wagnerowie? Zamknąłem pośpiesznie dziennik Józefa i odłożyłem go na miejsce. Wychyliłem się ostrożnie z pokoju, po czym zamarłem. Ujrzałem pulsujące, czerwonopomarańczowe światło, które promieniowało z parteru. Usłyszałem cichą, lecz potwornie brzmiącą kołysankę śpiewaną niskim, nieludzkim głosem, brzmiącym jakby wydobywał się z jakiejś głębi.

Serce waliło mi jak szalone, a nogi niemal całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Oparłem się o ścianę i zgasilem latarkę. Boże! Nie wiedziałem co mam zrobić, gdzie mam pójść, jak uciec. Jeżeli ktoś mnie tutaj złapie, to będę mógł pożegnać się z pracą i planami... Nie. Myśl racjonalnie! Przecież Wagnerowie nie byli w tym domu od lat, a wystawa jest dopiero za tydzień. Dlaczego akurat teraz ktoś miałby tu wpaść? O tej porze? Ale to piekielne światło, ta okropna melodia... Czy to tylko wyobraźnia?

Musiałem wziąć się w garść, pokazać samemu sobie, że irracjonalny strach nie może wygrać.

Ruszyłem po omacku do tyłu, desperacko szukając innego wyjścia. Muszę jakoś opuścić ten przeklęty dom, zanim ktoś mnie znajdzie... Po chwili zahaczyłem o coś zwisającego z sufitu. Zamarłem po raz kolejny. Sięgnąłem powoli dłonią, bojąc się, co mogę złapać. Wyczułem jedynie długi sznurek zakończony koralikiem. Wejście na strych. Być może tam znajdę wyjście albo schronienie.

Głosy z parteru nasilały się złowrogo, jakby zbliżając w moją stronę. Szarpnąłem sznurkiem i z sufitu wypadła składana drabina. Załapałem jej drewniane szczeble i zacząłem wchodzić powoli na górę, cały się trzęsąc, pogrążając w jeszcze głębszym mroku.

W końcu znalazłem się na strychu, a moje nozdrza wypełnił zapach formaliny i octu... Zaświeciłem latarką i zamarłem, kiedy blade światło objawiło mi tajemnice pomieszczenia. Myślałem, że ujrzanie z bliska obrazów Wagnerów było przerażającym doświadczeniem, jednak teraz nie byłem w stanie określić skali potworności, która mnie otaczała. Zakryłem usta dłonią, tłumiąc krzyki. O mało nie zwymiotowałem.

Na półkach i stołach znajdowały się słoje, dziesiątki słoików i terrariów wypełnionych formaliną. A w nich... O zgrozo! Widziałem ludzkie dłonie, stopy, a także wyrwane pary oczu. Do tego coś na kształt mózgów, serc i nerek. Boże, jakie obrzydliwości!

Co tu się, kurwa, dzieje?!

W oddali widziałem rzeźby... Nie, nie rzeźby. Jezu! To były ludzkie ciała! Złączone, pozszywane, tworzące jakieś kreatury, przerażające monstra. Leżały na drewnianych stołach, przykryte niedbale brudnymi szmatami. Ich usta oraz puste oczodoły wypełniono słomą, jak polnym strachom na wróble...

Jezu! Muszę jak najszybciej stąd uciec.

Światło latarki padło na samotną sztalugę, zakrytą jakimś prześcieradłem. Tuż za nią znajdowało się okrągłe okno, które wpuszczało delikatny blask księżyca.

Droga wyjścia. Wybawienie.

Ruszyłem pośpiesznie, nie oglądając się dookoła, ignorując leżące zwłoki i pływające w słojach narządy. Minąłem coś, co wyglądało na puszkę z czerwoną farbą... lub krwią.

Boże, co oni tu robili?!

Znalazłem się w końcu obok stelaża skrywającego kolejną, być może jeszcze gorszą tajemnicę. Czy to nowy obraz, który miał zostać wystawiony? Mimowolnie dotknąłem prześcieradła, by je ściągnąć i ujrzeć...

Gwałtowny błysk zapalonego światła sprawił, że wrzasnąłem i upuściłem latarkę.

– Nie robiłbym tego – rzucił jakiś zmanierowany głos. Odwróciłem się momentalnie i ujrzałem Wincen-
tego Wagnera, który stał przy wejściu na strych. Pierwszy raz widziałem go na własne oczy. Ubrał się
w dopasowany do ciała sweter i czarne spodnie, które współgrały z ulizanymi, kruczoczarnymi włosami.
– Ujrzanie dzieła przed premierą przynosi pecha.

Wytrzeszczyłem oczy i zawahałem się. Nie wiedziałem co powiedzieć, co zrobić. Stałem tylko w milcze-
niu i obserwowałem płynne jego ruchy. Wincenty uśmiechnął się nieprzyjemnie i ruszył powoli w moją
stronę. Ja natomiast podszedłem w stronę okna.

– Daruj sobie, bo i tak go nie otworzysz, Sebastianie – rzucił Wincenty i zatrzymał się. Następnie wycią-
gnął ręce, jakby w geście powitania. – Nie doceniłem cię. Myślałem, że nigdy tu nie przyjdiesz. Że je-
steś tak samo nudny i słaby... Dziadkowie jednak nalegali, myśleli, że coś z ciebie będzie. Chyba mieli

rację.

Nic nie odpowiedziałem. Staralem się jedynie uspokoić oddech i drzenie nóg.

– Sebastianie, nie bój się! – Wincenty zrobił kolejny krok do przodu. – No dalej, uściskaj kuzyna!

Kuzyna? Jakiego kuzyna?

– O czym ty mówisz? – spytałem łamiącym się głosem.

– Byłeś tak daleko od nas, zmieszany z innymi, lecz krew mamy taką samą. Nic dziwnego, że sztuka dziadków tak cię fascynowała, budziła skrywane fantazje i lęki, przyciągała do siebie.

Kim naprawdę jest ten człowiek? Co tu się dzieje?

– Wszystko zostaje w rodzinie...

– Nie podchodź! Jesteście chorzy! – przerwałem mu mimowolnie, wypełniony złością zmieszaną z przerażeniem. Wincenty zatrzymał się w pół kroku, a jego radosna mina zmieniła się momentalnie w grymas zawodu i niehumanitarnej wściekłości. Zaczął się trząść i zacisnął pięści. Nie wiedziałem czego się po nim spodziewać, wydawał się szalony, nieobliczalny.

Czy rzuci się na mnie? Czy rozbije stojące obok słoje?

Wincenty jednak cofnął się i uderzył pięścią w ścianę.

– Mówiłem, że jest taki sam, jak jego ojciec!!! – wrzasnął gwałtownie wniebogłosy, a ja miałem wrażenie, jakby w odpowiedzi zatrzęsł się cały dworek. – Tak samo zwyczajny i tchórzliwy!!!

Moje przerażenie rosło z każdą chwilą. Rozglądałem się w panice, skupiając wzrok na zejściu w podłozie. *Muszę tam podejść. Muszę mu uciec...*

– Jesteście chorzy! Wszyscy! – rzuciłem ponownie, usiłując go okrążyć i dopaść drabinę. Jedyne o czym teraz myślałem, to uciec stąd jak najszybciej i nigdy nie wracać. Biec jak najszybciej i nie oglądać się za siebie.

– Taki sam, jak ojciec – powtórzył i wytarł teatralnie łzy, które napłynęły mu do oczu.

Zawahałem się.

– O czym ty w ogóle mówisz? – spytałem.

– Nadal nie wiesz, nieprawdaż? On nigdy ci nie powiedział. Wychowywał was w ignorancji i niewiedzy...

Spojrzałem na niego zdeorientowany. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Czego mi nie powiedział? – spytałem ponownie.

– Głupiec myślał, że jeśli ucieknie do jakiejś panny i zmieni nazwisko, to dziedzictwo Wagnerów go omi-

nie. Że odetnie się od tego! Cóż za głupiec! GŁUPIEC!

Zamarłem. Skąd on znał mojego ojca? Czy to... Nie, to nie możliwe!

– Józef Nowicki. – Wincenty wypluł imię i nazwisko mojego ojca. – Małgorzata Nowicka. Katarzyna Nowicka. Sebastian Nowicki. Cóż za pospolite nazwisko. – Mężczyzna spojrzał na mnie, a ja zbliżyłem się jeszcze bardziej do zejścia. – Nie uważasz, że twoje imię brzmiałoby o wiele lepiej z prawdziwym nazwiskiem? Sebastian Wagner... Tak, to brzmi dobrze.

Poczułem się, jakby zdzielił mnie tępym narzędziem w tył głowy. To przecież niemożliwe! Mój ojciec wychował się w tym potwornym miejscu? Cierpiał każdej nocy, widząc i słysząc te odrażające rzeczy? Uciekł z ukochaną, spłodził dwójkę dzieci, a na końcu powiesił się w garażu? Nigdy nie wspominał o swojej rodzinie czy przeszłości, ale... Nie, to nie mogła być prawda...

– NIE! – krzyknąłem, a Wincenty spochmurniał jeszcze bardziej.

– Tak, kuzynie, to prawda – odparł spokojniej. – Jednak muszę ci coś przyznać... Może i jesteś jak twój żalosny ojciec, ale przynajmniej odziedziczyłeś naszą niezwykłą ciekawość do rzeczy bardzo osobliwych. To ona zaprowadziła cię w to miejsce, to ona ukazała ci prawdziwe oblicze naszej rodziny. – Wincenty spojrzał mi prosto w oczy, a ja poczułem, jakby zajrzał w moją duszę. – Powiadają, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Sebastianie, lecz ty wpadłeś w samo jego jądro.

Mój strach mieszał się z obrzydzeniem. Miałem dość tego miejsca i tego człowieka. Miałem dość wszystkiego. Chciałem tylko wrócić do domu i zapomnieć o tym chorym miejscu.

– Rozejrzyj się! – rzuciłem mu z wyrzutem, wciąż przetwarzając tę koszmarną informację. – To chore! Te wszystkie ciała, te słoiki... Nie wspominając tych pieprzonych obrazów! O co tu chodzi?! Z czego Wagnerowie je robili?!

Wincenty uśmiechnął się szelmowsko.

– To miejsce jest straszne! – dodałem zrozpaczony. – Nie widzisz tego?!

– To ma być straszne? – Młody Wagner zaśmiał się nieprzyjemnie. – Masz szczęście, Sebastianie, że nie zszedłeś do piwnicy.

Zrobiłem krok w tył i poczułem, jak spadam gwałtownie przez otwór w podłodze. Wylądowałem twardo na drewnianej posadzce, a nogę przeszył przeraźliwy ból. Krzyknąłem. Chyba ją złamałem, nie mogłem nią ruszyć.

Dom Wagnerów był teraz całkowicie oblany czerwonym światłem, a obrazy żywe, dobrze widoczne. Jeden z nich, przedstawiający pusty salon, zawierał teraz dwie postacie, które malowały coś na sztaludze, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem.

Zacząłem czołgać się w stronę schodów, a po policzkach spływały mi łzy bólu i przerażenia. Słyszałem, jak Wincenty schodził po drabinie i zmierzał powoli w moją stronę.

W końcu dotarłem do zejścia, jednak zanim zdążyłem złapać poręcz, coś lodowatego i szorstkiego chwyciło mnie za ręce i zrzuciło ze schodów jak szmacianą lalkę. Upadłem, chyba łamiąc przy tym nos. Boże!

Potworny ból był nie do opisania, z trudem łapałem oddech. Starłem się podnieść, jednak nie miałem na to sił, nawet czołganie sprawiało mi trudności. Pełzłem więc, szurając desperacko twarzą i ciałem po podłodze.

Kątem oka widziałem, jak maskary z obrazów Wagnerów ruszają dziko głowami oraz rękoma, a inne wychodziły z nich i upadały ciężko na podłogę, po czym prostowały się i nastawiały wykrzywione kończyny.

Wyły, wrzeszczały, warczały. *Boże, co za koszmar! To się nie dzieje naprawdę!*

Dotarłem w końcu do drzwi, a przynajmniej tak mi się wydawało. Leżąc na podłodze, wsadziłem obolałą dłoń do kieszeni płaszcza, by znaleźć klucze i w końcu się stąd wydostać. Kiedy tylko poczułem ich metalowy chłód, nieznana siła rzuciła mną po raz kolejny i tym razem wylądowałem ciężko na plecach. Z moich ust wyrwał się kolejny jęk.

Przerażające kreatury z obrazów dosłownie ożyły, zbliżały się pokracznie w moją stronę, zostawiając za sobą kałuże wody, śluzu i krwi. Czułem, jak całe moje ciało drży z przerażenia. Łzy strachu i bezsilności spływały po policzkach... Tak bardzo chciałem wrócić do domu, do matki i siostry. Chciałem, by był przy mnie ojciec, by wyrwał mnie stąd i ocalił, choć miałem świadomość, że jest to niemożliwe.

W oddali ujrzałem autoportret Wagnerów. Zakłęci w nim artyści patrzyli na mnie surowym wzrokiem, jakby smutni i zawiedzeni faktem, że odrzuciłem ich dzieło.

– Nie chciałem zrobić niczego złego! – wyrzuciłem z siebie resztkami sił. – Ja tylko chciałem napisać tę pieprzoną biografię! Proszę, pozwólcie mi wrócić do domu! Nie zabijajcie mnie!

Wincenty Wagner zszedł w końcu po schodach, a nieludzkie szkarady zatrzymały się i zrobiły mu miejsce, wpuszczając na środek salonu. Mężczyzna tylko pokiwał ze smutkiem głową, po czym cmoknął.

– Nie zabijemy cię, drogi Sebastianie, w końcu jesteś jednym z nas, czy tego chcesz, czy nie – powiedział niby zatroskany i pochylił się nade mną. – Jednak strach i obrzydliwość to bardzo osobliwa sztuka. Nie każdy powinien na to patrzeć.

Czułem, jak niewidzialna, zimna dłoń trzymała mnie za rękę, w której ścisnąłem klucze. Ich ostre końcówki zbliżały się nieubłaganie do twarzy. Były coraz bliżej i bliżej... Nie mogłem nic zrobić, zamknąłem tylko oczy w przerażeniu.

Ostatnim co widziałem, były obrzydliwe, szkaradne i monstrialne dzieła wagnerowskich pędzli, które wpęłzały wściekle do mojego umysłu.

Boże, błagam, pomóż.

Przeszywający ból wypełnił moje gałki oczne, a ciemność spowiła wszystko dookoła...

*

Później dowiedziałem się, że znaleziono mnie na rozwidleniu dróg, nieprzytomnego, leżącego w kałuży krwi oraz moczu. Udzielono pierwszej pomocy i wezwano karetkę, która od razu zabrała mnie do miasta. Jednak wciąż nie czułem się bezpiecznie. Świat był teraz dla mnie obcym miejscem, mrocznym i nieznanym, pełnym paskudnych kształtów i nieludzkich dźwięków ukrytych w zakamarkach pamięci.

W gryfińskim szpitalu codziennie słyszałem kojące głosy pielęgniarek, które pomagały mi oswoić się z nową rzeczywistością. Często powtarzały, że wszystko będzie dobrze, że jestem bezpieczny. Fałszywa nadzieja dodaje fałszywej otuchy. Nie wierzyłem im, tak jak one nie uwierzyłyby w moją makabryczną historię, która nie ujrzy już światła dziennego, pochowana w głębi mroku razem z marzeniami. Nie miałem już odwagi o niej opowiedzieć. Nikomu.

Policja przeprowadziła krótkie śledztwo, rozmawiali ze mną, zadawali głupie pytania, jakby z przymusu. W końcu jednak uznali to za nieudaną próbę samobójczą, a mnie za szaleńca i desperata, którymi przecież nie byłem...

Ponoć odwiedzili też Wagnerów, jednak niczego tam nie znaleźli. Mój notatnik był pusty, tak samo jak galeria w telefonie. Nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć... Czułem, że jestem w tym całkiem sam, moja rodzina również traktowała mnie jak szaleńca... Nie mogłem jednak wyznać prawdy, to by ich zrujnowało jeszcze bardziej.

Na lewym nadgarstku wyczuwałem czasem grubą bliznę, układającą się w skrót *Z.F.W.*, lecz nikt jej nie widział... Czyżby była tylko dziełem mojego umysłu?

*

Czasem słyszę głos kobiety, która dramatycznie woła o pomoc, krzyczy, by nie szpecili jej twarzy... Innym razem głos należy do mężczyzny, wrzeszczącego coś szalenie w obcym, nieludzkim języku... Do tego ta potworna kołysanka...

Są to jedynie krótkie urywki, nagłe ukłucia bólu i strachu. Potem znów oddałam się w ciemność...

Przestaję rozumieć, co mówią do mnie pielęgniarki. Zwykle spokojne, delikatne, jednak z każdym dniem brzmią coraz dziwniej, ostrzej... Czy to na pewno były one? Ktoś inny tu przychodzi? Jakaś obca siła przejmuję mój umysł? Nie mam pojęcia co się ze mną dzieje...

*

Wkrótce przeniosą mnie do szpitala psychiatrycznego na obserwację. Nie chciałem tam jechać, bałem się tego miejsca, ale każdy nalegał, zwłaszcza matka i siostra, a ostatnim czego pragnąłem, było zadawanie im większego bólu...

Każdego dnia modliły się i dziękowały Bogu za to, że przeżyłem... Ale cóż to za życie? Żyłem ślepy, otoczony pustką i ciemnością, z której czasem wyłaniały się odrażające kreatury z dzieł Wagnerów, real-

ne, głęboko zakorzenione w moim umyśle, ukazujące się w akompaniamencie tej koszmarnej kołysanki... Nie mogłem już zamknąć oczu, nie mogłem im uciec ani się schować.

Musiałem walczyć sam, każdej nocy, choć brakowało mi już sił...

Mój umysł przypominał zniszczone płótno, na które Wagnerowie przelali kolejne dzieło, być może najpotworniejsze w całej swej karierze. Czułem, że przerażające wspomnienie tego co zaszło miało mnie już nigdy nie opuścić, nieważne jak bardzo chciałbym wymazać je z pamięci...

Czy właśnie z tym musiał mierzyć się mój ojciec? Tak bardzo mu współczułem.

Przestronny salon Wagnerów rozbrzmiewał delikatnymi dźwiękami *Symphonie fantastique* Berlioza i głośnymi rozmowami zebranych. Elegancko ubrani goście trzymali w dłoniach kieliszki wypełnione czerwonym winem i spoglądali w stronę schodów, z których schodził napuszony jak paw Wincenty Wagner. Głosy zamieniły się w szepty, kiedy mężczyzna krokiem pełnym gracji podszedł do stojącego na środku pokoju stelaża z zasłoniętym obrazem.

Wincenty uśmiechnął się szeroko. Po chwili ściągnął zasłonę, a wszyscy ciekawscy goście ujrzeli nowy, niezwykle realistyczny portret. Żywy i dziki, namalowany precyzyjnymi, aczkolwiek ostrymi ruchami pędzla. Przedstawiał wrzeszczącego mężczyznę obdartego ze skóry, który wydłubywał sobie oczy brudnym, ostrym narzędziem. Jego zalana krwią twarz ukazywała przerażający grymas bólu i rozpacz, nie spotykany dotąd w dziełach Wagnerów.

Goście przyglądali się osobliwemu obrazowi w długiej, niespokojnej ciszy, przerywanej ostatecznie nagłymi oklaskami i gratulacjami, ku wielkiej uciechu Wincentego oraz zakłętego w autoportrecie małżeństwa Wagnerów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DanielKurowski1, dodano 09.03.2021 20:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.